

Metadokument Zagłady: ekspozycja historyczna w Sobiborze

Z dr. Tomaszem Kranzem, dyrektorem
Państwowego Muzeum na Majdanku, rozmawia
prof. Anna Ziębińska-Witek

Rozmowa jest zapisem wywiadu przeprowadzonego
19 sierpnia 2024 r. z inicjatywy Muzeum KL Plaszow
oraz portalu ohistorie.eu.

Dr Tomasz Kranz

germanista, historyk, muzeolog, dyrektor Państwowego Muzeum na Majdanku, członek licznych zespołów eksperckich, w tym Rady ds. Muzeów i Miejsc Pamięci Narodowej przy Ministrze Kultury i Dziedzictwa Narodowego (od 2018) oraz polskiej delegacji w International Holocaust Remembrance Alliance (od 2019). Autor publikacji poświęconych historii obozu koncentracyjnego w Lublinie, Holokaustowi i tematyce muzealnej, w tym książek: *Edukacja historyczna w miejscach pamięci. Zarys problematyki* (2009) i *Zagłada Żydów w obozie koncentracyjnym na Majdanku* (2010). Redaktor m.in. tomów: *Muzea w poobozowych miejscach pamięci. Tożsamość, znaczenia, funkcje* (2017), *Pedagogika pamięci. O teorii i praktyce edukacji w muzeach martyrologicznych* (2018), *Historia w przestrzeniach pamięci. Obozy – „miejsca po” – muzea* (2021), *Infrastruktura akcji „Reinhardt”* (2023), *Przeszłość w muzeach historycznych. Reprezentacje i narracje* (wspólnie z A. Skrabek, 2024), a także współredaktor i współautor monografii *Więźniowie KL Lublin 1941–1944* (2022).

Prof. dr hab. Anna Ziębińska-Witek

pracuje na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zajmuje się muzeologią, teoretycznymi problemami wiedzy o przeszłości oraz problematyką reprezentacji historii w werbalnych i wizualnych dyskursach kultury współczesnej. Stypendystka Fundacji Kościuszkowskiej (w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie) oraz Fundacji Fulbrighta (w Princeton University). Autorka wielu publikacji, w tym monografii: *Holocaust. Problemy przedstawiania* (2005), *Historia w muzeach. Studium ekspozycji Holokaustu* (2011) i *Muzealizacja komunizmu w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej* (2018). Ta ostatnia praca ukazała się również w języku angielskim pod tytułem *Museumisation of Communism in Poland and East Central Europe* (2024); autorka przekładu studium Berela Langa *Nazistowskie ludobójstwo. Akt i idea* (2006).

Anna Ziębińska-Witek: Rozmawiać będę z panem doktorem Tomaszem Kranzem, dyrektorem Państwowego Muzeum na Majdanku oraz jego dwóch oddziałów – Muzeum i Miejsca Pamięci w Bełżcu oraz Muzeum i Miejsca Pamięci w Sobiborze. Znajdujemy się na terenie byłego niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze, a zrealizowane tutaj upamiętnienie, które zdobyło specjalne wyróżnienie na najlepsze europejskie muzeum roku 2024, będzie głównym tematem naszej rozmowy. Rozpoczynając nasze spotkanie, chciałabym przede wszystkim zapytać Pana o historię samego obozu zagłady w Sobiborze.

Tomasz Kranz: Sobibór był jednym z trzech obozów działających w ramach tzw. akcji Reinhardt. Pod tym kryptonimem Niemcy ukrywali proces zagłady Żydów w Generalnym Gubernatorstwie. Pierwszym obozem był Bełżec, drugim Sobibór, trzecim Treblinka. Także obóz koncentracyjny w Lublinie na Majdanku został powiązany z akcją Reinhardt. Sobibór podporządkowano całkowicie realizacji dwóch celów – eksterminacji Żydów i grabieży ich mienia. Jeżeli chcemy nakreślić ramy czasowe, to możemy powiedzieć, że obóz funkcjonował, z pewnymi przerwami, od maja 1942 r. do października 1943 r. W tym czasie deportowano tutaj ok. 180 tys. Żydów, przede wszystkim z terenu Lubelszczyzny, w 1943 r. wielu z zagranicy: przeszło 30 tys. osób z Holandii, ponad 20 tys. ze Słowacji, a także mniejsze transporty z Austrii, Niemiec i jeszcze kilku innych państw. Jest to istotne, bo – jak powiedziałem – akcja Reinhardt dotyczyła przede wszystkim polskich Żydów, ale również tych, którzy byli tutaj deportowani w ramach wysiedleń z Protektoratu Czech i Moraw czy Rzeszy. W związku z tym odsetek zamordowanych w Sobiborze Żydów pochodzących spoza Polski stanowił prawie połowę ofiar i był największy ze wszystkich obozów akcji Reinhardt.

Jaka była geneza obozu w Sobiborze?

Obóz powstał przy stacji kolejowej, obok znajdującej się tam osady, w której w latach 20. XX w. mieszkało ok. 80 osób, robotników leśnych i pracowników stacji kolejowej. Wieś Sobibór leży 5 km od tego miejsca, więc obóz nie był związany z tą wsią, tylko z osadą i stacją kolejową. Na początku Niemcy zarekwirowali część znajdujących się tutaj zabudowań. Na potrzeby obozu przejęli istniejące budynki, m.in. pocztę, w której później urządzono mieszkanie komendanta, oraz gospodarstwo rolne leśniczego, w którego zabudowaniach powstał tzw. obóz II i gdzie przyjmowane były transporty. Budynek, w którym prezentowana jest wystawa, stoi w pobliżu tego miejsca.

Jak wyglądał sam proces Zagłady?

Przyjeżdżał pociąg, najczęściej transporty liczyły 20 wagonów, cały skład był wpychany na bocznice kolejową, która mieściła się w granicach obozu. Nowo przybyłych wypędzano z wagonów i prowadzono

do obozu II. Tam musieli się rozebrać, oddzielnie kobiety, oddzielnie mężczyźni, i oddać swoje rzeczy. Następnie SS prowadziła ich do komór gazowych i po 2–3 godzinach po przyjeździe ci wszyscy ludzie już nie żyli. To nie był obóz koncentracyjny, ale przebywało w nim dłużej również kilkuset więźniów, początkowo tylko mężczyźni, później także kobiety. Byli to wybierani z transportów robotnicy przymusowi, którzy pracowali przy obsłudze obozu i całego procesu zagłady oraz przy sortowaniu rzeczy rabowanych przez Niemców i wywożonych do Rzeszy. Początkowo większość więźniów-robotników obozowa SS zabijała dość szybko, z czasem pozostawiała ich przy życiu nieco dłużej, np. z powodu przerw związanych z awarią torów kolejowych. Awarye wywoływały również inne skutki. Pierwotnie, gdy rozpoczęła się akcja wysiedlania getta w Warszawie w lipcu 1942 r., część transportów miała przyjechać tutaj, do Sobiboru. Okazało się jednak, że tory kolejowe są uszkodzone. Z zachowanych dokumentów, z których jeden prezentujemy na wystawie, wynika, że już wtedy Niemcy wiedzieli, że obóz nie będzie dostępny przez prawie trzy miesiące, i dlatego wszystkie transporty z getta warszawskiego zostały wysłane do Treblinki. W tym samym czasie nastąpiła modernizacja obozu, podobnie jak wszystkich ośrodków akcji Reinhardt, w których w trakcie ich funkcjonowania rozbudowywano komory gazowe, by usprawnić proces eksterminacji. To miało miejsce również w Sobiborze i od października 1942 r. znowu przybywały tu transporty. Ta sytuacja trwała do lata 1943 r.

Dzięki filmowi *Ucieczka z Sobiboru* nawet osoby niezajmujące się tematyką Zagłady kojarzą powstanie, które wybuchło w obozie. Jaki był jego przebieg?

Do powstania doszło 14 października 1943 r. Niemcy użyli nawet określenia *Aufstand*¹ w jednym z dokumentów. To było możliwe dzięki konspiracji – tak jak powiedziałem, część więźniów przebywała w obozie dłużej. Wśród nich był pochodzący z Żółkiewki Leon Felhendler, cieszący się dużym autorytetem, który od jakiegoś czasu planował ucieczkę. I tak się złożyło, że we wrześniu 1943 r. przybył transport jeńców sowieckich z Mińska. Większość Niemcy zamordowali. Część z nich jednak pozostawili, by zastąpić zabitych wcześniej 70 Żydów holenderskich, którzy obsługiwali tzw. obóz IV. Tam Niemcy chcieli zbudować magazyny i sortownie zdobyczej amunicji, więc potrzebowali dodatkowej siły roboczej. W tej grupie znalazł się Aleksander Peczerski, który w ciągu trzech tygodni w porozumieniu z Felhendlerem przygotował bardzo odważny i brawurowy plan ucieczki, a w zasadzie powstania, podczas którego udało się niemal połowie więźniów wydostać z obozu. Jednak nie z każdej jego części, ponieważ więźniowie z tzw. obozu III, czyli sektora eksterminacyjnego, byli ściśle izolowani i w ogóle nie wiedzieli, że powstanie jest przygotowywane, więc nie mieli możliwości wzięcia udziału

1 *Aufstand* (niem.) – powstanie (przyp. red.).

w tej ucieczce. Przyjmujemy, że w obozie znajdowało się wtedy 600–700 osób. Blisko 300 więźniów uciekło z obozu, jednak część z nich zginęła na minach, część została szybko złapana. Końca wojny doczekało ok. 60 osób, czyli ze 180 tys. deportowanych tutaj w ciągu kilkunastu miesięcy ludzi przeżyło zaledwie kilkudziesięciu. Spośród tych nielicznych świadków niewielu zostało w Polsce, większość wyjechała za granicę. Tam długo nie byli w stanie przebić się z informacją, że było takie miejsce jak Sobibór, obóz zagłady, który wyglądał zupełnie inaczej niż Auschwitz. Sobibór sprawiał bowiem wrażenie zwyczajnego miasteczka: białe domy, rabaty, szylidy, nie widać było, że to jest przestrzeń zbudowana po to, żeby w ciągu kilku godzin mordować po kilka tysięcy ludzi. Robiła to garstka Niemców, ok. 30 osób załogi SS, nie licząc wartowników.

Po wojnie, w 1947 r., decyzją Sejmu powołano do życia dwa muzea – Państwowe Muzeum na Majdanku i Państwowe Muzeum Oświęcim-Brzezinka (takiej nazwy tego drugiego muzeum wówczas używano). Były one jedynymi muzeami, które reprezentowały zagładę, głównie Polaków, na ziemiach polskich. Obozy zagłady natychmiastowej przeznaczone wyłącznie dla Żydów – Bełżec, Sobibór, Chełmno nad Nerem, Treblinka – wspomniano jedynie przy okazji śledztw prowadzonych w latach 1945–1946 przez Główną Komisję Badania Zbrodni Niemców w Polsce. Były próby upamiętnienia obozu zagłady w Treblince, powstał nawet komitet upamiętnienia ofiar Treblinki oraz nigdy niezrealizowana koncepcja monumentu. Jednak kiedy jesienią 1947 r. komitet zwrócił się bezpośrednio do Bolesława Bieruta o objęcie opieki nad tą inicjatywą, dostał odpowiedź odmowną. Co się wówczas działo na terenie Sobiboru, jakie były losy miejsca po obozie po II wojnie światowej?

Może zanim odpowiem na to pytanie, to nawiążę do sekwencji tych upamiętnień, która była konsekwencją polityki historycznej komunistów ukierunkowanej na eksponowanie martyrologii narodu polskiego, a nie eksterminacji Żydów. Przypomnijmy, że pierwsze muzeum, które powstało na terenie byłego obozu, to jest właśnie Państwowe Muzeum na Majdanku. Założone w listopadzie 1944 r., trzy miesiące po likwidacji obozu, po wyjściu z niego ostatniego transportu ewakuacyjnego. W czerwcu 1947 r., czyli trzy lata później, powstało Państwowe Muzeum w Oświęcimiu. Tak naprawdę nie było wówczas innych muzeów – w Sztutowie, czyli obozie niedaleko Gdańska, który funkcjonował praktycznie od początku okupacji do końca II wojny światowej, muzeum zostało powołane dopiero w 1962 r., następnie w latach 80. XX w. utworzono muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy. Wbrew pozorom w Polsce muzeów, które dokumentowały martyrologię, nie było tak dużo. Pierwszy pomnik, który upamiętniał zagładę Żydów, autorstwa Natana Rapaporta, powstał w 1948 r. w Warszawie. Warto zwrócić uwagę, jak się ten pomnik nazywa: Bohaterów Getta, nie ofiar getta, co pokazuje, jakie wówczas było patrzenie na II wojnę światową. To miały być przede wszystkim miejsca walki i męczeństwa, które przedstawiały

pomordowanych jako ofiary faszyzmu, hitleryzmu, a zarazem jako bojowników. Nie mówiono o tym, kim były ofiary ani z jakiego powodu tutaj zginęły.

Jeśli chodzi o Sobibór, to sytuacja była w jego przypadku nieco inna, niż miało to miejsce w innych obozach zagłady. Z dokumentów wynika, że obozy akcji Reinhardt zostały rozebrane i na ich miejscu powstały gospodarstwa, żeby kamuflować to, co się w nich wydarzyło. W Bełżcu Treblince i Sobiborze komory gazowe zostały wysadzone w powietrze, część baraków rozebrano i wywieziono do innych obozów. W dwóch pierwszych wymienionych przypadkach praktycznie nie było widać śladów po ich infrastrukturze. Inaczej było jednak w Sobiborze: mamy zdjęcia lotnicze z maja 1944 r. wykonane przez Luftwaffe, gdy ten teren był jeszcze pod administracją niemiecką. Te zdjęcia pokazują, że z 50 budynków, które stanowiły obóz, niemal 30 wciąż istniało. To były budynki, w których mieszkali esesmani, i część baraków, w których przetrzymano więźniów. Te obiekty nie zostały od razu zniszczone.

Co się działo na terenie obozu od marca 1943 do połowy 1944 r.?

Marzec 1943 r. to początek deportacji Żydów z Holandii i Francji. Ostatni transport z Westerborka przybył 23 lipca. Po nim fala eksterminacji wyraźnie osłabła. We wrześniu Sobibór był miejscem docelowym dla kilku transportów ze wschodu, głównie z Mińska, skąd deportowano wspomnianego już Peczerskiego. Po powstaniu obóz został zlikwidowany. Związane z tym prace wykonała grupa Żydów sprowadzona z Trebłinki. Zajmowali się załadunkiem mienia ofiar do pociągów oraz rozbiórką baraków i ogrodzeń. Esesmani wysadzili w powietrze budynek z komorami, a na terenie obozu III posadzili las. W grudniu 1943 r. wymordowali ostatnich więźniów i wyjechali z Sobiboru. Krótko potem, w styczniu 1944 r., Niemcy zakwaterowali w barakach poobozowych junaków z tzw. Służby Budowlanej (*Baudienst*), których zadaniem miała być budowa okopów. Sowieci zajęli te tereny 22 lipca 1944 r., w sierpniu przeprowadzili w byłym obozie wizję lokalną, którą udokumentowali krótkim raportem. Zawierał on kilka zdjęć, które pokazywały, że ślady dokonanych w Sobiborze zbrodni nie zostały w pełni zatarte.

Z czego wynikała ta odmienność w zacieraniu śladów po Sobiborze?

Tak jak powiedziałem, z faktu, że znaczna część obozu nie została zdemontowana (mimo że tak twierdził w jednym z raportów Odilo Globocnik, koordynujący akcję Reinhardt), ponieważ SS pozostawiła większość baraków mieszkalnych na potrzeby Baudienstu z Chetma, co z kolei było powiązane z sytuacją na froncie. Dodajmy, że w tym czasie w Lublinie nie było już Globocnika. Od listopada 1944 do połowy 1946 r. te właśnie budynki pełniły funkcję obozu przejściowego. Ze stacji kolejowej wywożono do Związku Radzieckiego w ramach przymusowych wysiedleń Ukraińców z Lubelszczyzny. Byli wśród nich

również Ukraińcy, którzy mieszkali we wsi Sobibór w czasie II wojny światowej. W latach 1945–1946 natomiast prowadzone były dochodzenia dotyczące funkcjonowania obozu. Ale nie powstał żaden pomnik ani muzeum, a teren znajdował się w zasadzie bez opieki. I tak jak w wielu innych miejscach Holokaustu, tak tu dochodziło do haniebnych czynów, do działalności tzw. kopaczy, którzy tutaj przyjeżdżali, przekopywali obszar obozu, miejsca, w których zostały zakopane prochy ofiar, i szukali złota. Zostało to opisane w książce pt. *Płuczki*. Ten proceder nasilił się w latach 50. i 60. XX w., zdarzało się, że 100 osób przebywało tutaj jednorazowo i szukało złota. To był ogromny problem. W tym samym czasie funkcjonowała w Polsce Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. W naszym archiwum na Majdanku są zresztą ciekawe dokumenty opisujące, jak Rada zastanawiała się, jak upilnować miejsce, które nie jest ogrodzone. Zalecała zwracanie się do milicji, ale jednocześnie zwiększanie świadomości mieszkańców, choć kopaczami nie byli tylko mieszkańcy, ale też tzw. przyjezdni z Lublina czy Warszawy. Wiemy to na podstawie aresztowań, a nawet wyroków sądowych. Mimo że ten proceder był karalny, sporadycznie trwał jeszcze w latach 80.

Czyli sytuacja w Sobiborze pod tym względem nie różniła się od sytuacji w innych miejscach po obozach zagłady, co również dokumentują źródła. Jak jednak w takich okolicznościach przebiegał proces upamiętnienia?

W 1958 r. pojawia się inicjatywa upamiętnienia miejsca poprzez postawienie tutaj krzyży, nie zostaje jednak zrealizowana. I gdy przychodzą lata 60., które są bardzo istotnym okresem w historii Polski pod względem upamiętnień, wówczas z inicjatywy Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w całej Polsce w różnych miejscach, ale przede wszystkim na terenach byłych obozów, budowane są pomniki, które mają, tak jak już wspomnieliśmy, uczcić ofiary stylizowane na bojowników. Były to jednak monumenty, które zwracały uwagę opinii publicznej na tragiczną historię konkretnego miejsca. Tak się stało również w Sobiborze, gdzie w czerwcu 1965 r. odstonięto pomnik będący dziełem Romualda Dylewskiego, lubelskiego urbanisty, który był związany z muzeum na Majdanku, i rzeźbiarza Mieczysława Weltera (Ryc. 1). Dylewski zaproponował, aby stworzyć tutaj założenie przestrzenne łączące elementy już obecne, jak rampa – gdzie przybywały transporty – oraz miejsce lokalizacji komór gazowych, i żeby tam postawić pomnik. Całość uzupełnić miał symboliczny kopiec usypany z ziemi przywiezionej z zewnątrz i pozbawionej prochów ofiar. Głównym elementem upamiętnienia był właśnie pomnik, który stanął w miejscu, gdzie częściowo znajdowały się komory gazowe. Monument, nazywany wieżą, był graniastostupem z ciosanych kamieni o wysokości 8 m wraz z rzeźbą przedstawiającą kobietę z tulącym się do niej dzieckiem. Pierwotnie rzeźba miała być powieszona na murze, co było bardzo ciekawą i nowatorską koncepcją, ale okazało się, że z powodu specyfiki gruntu, w którym jest dużo piasku, to rozwiązanie

nie było możliwe. Posąg stanął na cokole postawionym blisko pomnika. Jednak ze względu na konieczność ograniczenia środków finansowych i pośpiech został on wykonany z tzw. zbrojonego cementu, z opłatkami żelaza. A to w krótkim czasie spowodowało jego destrukcję. Welter musiał wykonać rzeźbę na nowo, tym razem w czerwonym piaskowcu. I to jest ta druga wersja, która jest do dzisiaj prezentowana na terenie naszego muzeum. Później zaszła jeszcze jedna zmiana w stosunku do pierwotnej koncepcji. Rzeźbę postawiono na cokole kilka metrów dalej. To niby mała rzecz, ale okazało się, że wskutek tego zabiegu wydzźwięk upamiętnienia, jego siła ekspresji są dużo słabsze. Ja pamiętam właśnie ten widok, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy pod koniec lat 70. XX w.

Ryc. 1
Pomnik ku czci ofiar
niemieckiego obozu zagłady
w Sobiborze wzniesiony
w 1965 r., domena publiczna



Chciałem jeszcze z dwóch powodów nawiązać do dekady lat 60. XX w. Była ona niezwykle istotna ze względu na powstające upamiętnienia byłych obozów zagłady, ale też dlatego, że wszystkie one bazowały na oryginalnych polskich ideach. Nie mieliśmy wzorów do naśladowania, w związku z tym byliśmy pionierami w kształtowaniu zjawiska, które obecnie nazywa się upamiętnieniem martyrologicznym lub reprezentacją traumy. Dekada lat 60., krytykowana za monumentalizm i wspieranie paradygmatu martyrologiczno-heroicznego, odzwierciedlała wartości charakterystyczne dla swojej epoki. Lata 60. XX w. stanowiły fundament dla upamiętnień z lat 90. i późniejszych. Warto podkreślać, że zupełnie inaczej upamiętnia się były obozy koncentracyjne z zachowaną infrastrukturą, gdzie baraki i wieżyczki stanowią materialne nośniki pamięci, a inaczej miejsca, w których zostało bardzo niewiele albo całkiem nic. I w takich przestrzeniach powstawały wówczas całkowicie nowe założenia architektoniczne, jak opisane przez Pana bardzo nowatorskie upamiętnienie Dylewskiego.

Teraz chciałabym przejść do lat 90., gdyż kolejnym etapem dla byłego obozu w Sobiborze jest rok 1993, kiedy w 50. rocznicę wybuchu powstania utworzono muzeum byłego obozu zagłady jako oddział zamiejscowy Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Wtedy też odsłonięto nową tablicę pamiątkową. Czy wówczas zaszły jakieś istotne zmiany w upamiętnieniu?

Teren poobozowy znajdował się pod kontrolą Lasów Państwowych. Mowa o 25 ha właściwego obozu, a w sumie, jeśli doliczymy obszar, który można nazwać „strefą interesów”, ponad 50 ha powierzchni. W 1975 r. Nadleśnictwo Sobibór wybudowało na nim drewniany budynek, który miał służyć przede wszystkim jako obiekt noclegowy. Budynek ten w 1993 r. przejęło Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego wraz z 9 ha okalającego go terenu. Powstała w nim pierwsza ekspozycja na temat historii Sobiboru. Dużą rolę w tym procesie odegrał pochodzący z Izbicy Tomasz Blatt, były więzień i jeden z powstańców, który po wojnie wielokrotnie przyjeżdżał do Polski i Lublina. Jego zaangażowanie miało wpływ na zmianę treści umieszczonej przy wejściu tablicy, która informowała bardzo ogólnie o obozie i eksponowała jako więźniów jeńców sowieckich. Ten przekaz został zmieniony. Był to moment przełomowy, w którym Sobibór zaczął funkcjonować w przestrzeni publicznej jako miejsce pamięci i muzeum – skromne, ale jednak muzeum. Koledzy pracujący wtedy w muzeum we Włodawie mówili, że miało ono charakter sezonowy. Wystawa była otwierana głównie w lecie z powodów choćby tak oczywistych, że dojechać tutaj w zimie nie było łatwo, co zresztą do tej pory jest problemem takich miejsc. Dla upowszechnienia wiedzy o obozie bardzo istotny był też film *Ucieczka z Sobiboru*, oparta na faktach brytyjska produkcja, której konsultantami było trzech byłych więźniów, a która opowiadała o obozie i powstaniu zorganizowanym przez Felhendlera i Peczerskiego.

Przełomowym momentem był rok 2012, kiedy muzeum byłego obozu zagłady w Sobiborze stało się oddziałem Państwowego Muzeum na Majdanku. To była naprawdę duża zmiana. Czy od razu pojawiły się u Pana nowe koncepcje upamiętnienia?

One pojawiły się wcześniej, w 2008 r. Wtedy z inicjatywy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa podpisano porozumienie między Polską, Słowacją, Holandią i Izraelem w sprawie nowego zagospodarowania przestrzennego terenu i wybudowania na nim muzeum. Stojący wówczas na czele Rady Andrzej Przewoźnik zaprosił mnie do Warszawy i poprosił, żebym stworzył taką nieformalną grupę ekspertów, która będzie myślała o tym, jak zamienić to miejsce w nowe muzeum. Tak więc w zasadzie miałem przemyślenia wcześniej, nim w 2012 r. oficjalnie obszar ten został przekazany Muzeum na Majdanku. Jednym z moich pierwszych działań było przygotowanie pisma, które wysłałem do ministerstwa kultury. Podkreśliłem w nim, że byłoby najlepiej zachować

tkankę historyczną i pozostawić tylko dom komendanta, a wszystkie budynki, które powstały po wojnie, wykupić i rozebrać. Wtedy lokalizacja budynku muzeum mogłaby być inna niż obecnie. Trochę szkoda, że do tego nie doszło, bo uważam, że to było najlepsze rozwiązanie dla muzeum. W każdym razie zaczęliśmy przygotowywać koncepcję niedużego muzeum, które jednak miało mieć wystarczającą przestrzeń, żeby opowiedzieć historię samego miejsca i pokazać mechanizmy funkcjonowania obozu zagłady w kontekście akcji Reinhardt. Chodziło także o kontekst prześladowania Żydów zagranicznych, przede wszystkim, jak już powiedzieliśmy, ze Słowacji i Holandii, więc trzeba też było opowiedzieć o tym, co się działo w tych krajach w latach 1942–1943. Myśleliśmy o muzeum jako o miejscu, które będzie dokumentowało funkcjonowanie obozu, tak odmiennego od rozpowszechnionych wyobrażeń na temat Holokaustu związanych z Birkenau.

Jaki wpływ na kształt całego upamiętnienia i wystawy miały badania archeologiczne, jak wpłynęły na lokalizację budynku muzealnego?

Badania archeologiczne miały ogromny wpływ na kształt upamiętnienia w Sobiborze. Kilukrotnie już to podkreślałem, że jeśli spojrzymy na Sobibór w szerszym kontekście miejsc zagłady czy innych obozów związanych z nazistowskimi prześladowaniami, to chyba nie ma takiego miejsca w Europie, które byłoby tak dogłębnie zbadane właśnie od strony archeologicznej. Co nie znaczy, że wszystko udało się odkryć i ustalić, mimo że badania rozpoczęły się już w 2000 r. i były prowadzone z różną intensywnością oraz przy użyciu różnych metod praktycznie do roku 2020. W ostatnich latach realizowaliśmy również badania nieinwazyjne. Mimo poczucia pewnego niedosytu udało się ustalić bardzo dużo, przede wszystkim lokalizację kilku ważnych budynków infrastruktury obozowej i śladów historycznych. Wskazane zostało położenie drogi, którą ofiary były pędzone na śmierć, nazywanej przez Niemców „Schlauchem” (dalej: szlauch). Był to korytarz wytyczony przez druty kolczaste z wplecionymi w nie gałęziami, aby nie było widać, co działo się wewnątrz. Nadzy ludzie, osobno kobiety z dziećmi, osobno mężczyźni, tym korytarzem o długości 230 m byli pędzeni do komór gazowych. To był ich marsz ku Zagładzie. Dzięki badaniom archeologicznym udało się odnaleźć ślady słupów i w ten sposób wytyczyć przebieg tego przejścia. Archeolodzy odkryli także tunel, którym starali się uciec więźniowie z komanda specjalnego pracującego w sektorze zagłady. Ta ucieczka była udokumentowana w relacjach i wiemy, że uciekinierzy zostali prawdopodobnie zdradzeni tuż przed ukończeniem pracy, tunel został odkryty, a ich wszystkich rozstrzelano. Ale znaleziskiem o znaczeniu światowym było odsłonięcie fundamentów komór gazowych. Wiedzieliśmy, że komory gazowe były wysadzone w powietrze, gruz został częściowo rozrzucony, częściowo wywieziony. Nikt się jednak nie spodziewał, że zachowały się fundamenty budynku. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że solidna betonowa podłoga ochroniła

je podczas wybuchu. Dzięki temu odkryciu mogliśmy ustalić dokładną lokalizację komór gazowych i opisać ich strukturę. Sobibór różnił się od np. Bełżca tym, że tutaj nie zastąpiono jednego budynku drugim, tylko do trzech istniejących komór gazowych dobudowano nową część i to też zostało potwierdzone podczas badań. Takie odkrycie uświadamia, że to miejsce, które przede wszystkim kojarzy się z pustką pozbawioną materialnych śladów, budynków, wciąż zachowuje w ziemi relikwii przeszłości. Te zabytki należy zakonserwować i pokazać, co staraliśmy się zrobić, nawet w sensie dosłownym. Dzięki oknom archeologicznym można spojrzeć na fundamenty, fragmenty komór gazowych. To tutaj zginęło 180 tys. ludzi.

W tym, co Pan powiedział, jest dla mnie coś niesłuchanie ważnego. W 2001 r. otwarto dla publiczności budynek „centralnej sauny” na terenie Birkenau. Mamy tam do czynienia ze szczególnym sposobem upamiętnienia Zagłady, w którym zakłada się, że publiczność utożsamia się w jakiś sposób z ofiarami, gdyż odwiedzający prowadzeni są drogą, którą kiedyś szli więźniowie. To bardzo silne doświadczenie emocjonalne. Wiek XXI przyniósł jednak nowe pytania i wątpliwości związane z reprezentacją traumy i pojawiła się teza, że takie działanie jest zbyt ryzykowne. Chodzi o to, że w takiej sytuacji my jako odwiedzający koncentrujemy się na własnych emocjach, odsuwając od siebie, niejako wypierając to, co jest intencją podobnego upamiętnienia. Zmierzenie się z emocjami ofiar jest po prostu niemożliwe, gdyż nasza sytuacja jest zupełnie inna. W tym sensie upamiętnienie w Sobiborze jest absolutnie przełomowe, gdyż pokazując drogę ofiar, izoluje od niej odwiedzających. Mamy tu do czynienia z zupełnie odmienną ideą tkwiącą u podstaw założenia memorialnego. Czy może Pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

Jednym z głównych problemów upamiętnienia było pytanie o koncepcję. Sobibór był od 2008 r. projektem o charakterze międzynarodowym, cztery państwa wypowiadały się na temat tego, co się tutaj ma dzieć. Od początku strona holenderska bardzo mocno dążyła do tego, żeby nie budować muzeum, a jeżeli już, to aby powstało coś małego, funkcjonującego tylko w lecie. Pytałem więc, co zrobić w sytuacji, gdy postawimy obiekt, który będzie czynny tylko w lecie, a będą w nim eksponaty – co z nimi zrobimy w zimie, czy będziemy go ogrzewać? Holendrzy również od początku chcieli odtworzyć dla zwiedzających drogę ofiar. Na co ja i mój zespół mówiliśmy, że my tego nie chcemy, bo to jest nadużycie, instrumentalizacja i nie o to chodzi w upamiętnieniu. Dobrze, że wiemy, gdzie to miejsce było, ale nie musimy iść tą samą trasą, bo dzisiejszy zwiedzający to nie ofiary sprzed 80 lat. Dla nas to było oczywiste, lecz boje z nimi toczyliśmy bardzo długo i długo bym mógł o tym opowiadać, ale ostatecznie pomogła nam koncepcja architektoniczna. W 2013 r. odbył się konkurs na projekt zagospodarowania architektoniczno-artystycznego miejsca. Nadesłano 63 prace, więc zainteresowanie było

duże. Pierwszą nagrodę zdobyła grupa architektów z Warszawy i w ich koncepcji pojawiło się bardzo ciekawe rozwiązanie, które częściowo zostało zmienione już w toku realizacji. O co chodziło? Oni zaproponowali, żeby, po pierwsze, drogę do komór gazowych, czyli „Szlauch”, wytyczyć ścianą pamięci w taki sposób, aby biegła ona po osi drogi, nie niszcząc śladów archeologicznych. Ten zabieg miał pokazać, że ta droga jest dla nas niedostępna (Ryc. 2). Uważam, że to było genialne rozwiązanie. Kolejny pomysł zakładał, żeby ściana pamięci biegnąca wzdłuż „szlauchu” okalała także polanę mogił znajdującą się na terenie obozu III, czyli tam, gdzie mieściły się komory gazowe. To na tej polanie w pierwszym etapie funkcjonowania obozu były zakopywane ciała ofiar, tak jak we wszystkich obozach zagłady. Dopiero później, w Sobiborze od mniej więcej listopada 1942 r., ciała pomordowanych palono na stosach, więc na polanie mogił są także popioły i szczątki ludzkie. Miejsce to wyznaczał wcześniej symboliczny kopiec, a obecnie tę powierzchnię pokrywa warstwa białego kamienia, która ma chronić tę przestrzeń. Pierwsza koncepcja projektantów zakładała niemal całkowite zamknięcie polany mogił. Jedyne podejście miało dawać szczelina w murze. Ten zabieg miał mocno odseparować współczesnych zwiedzających od tego miejsca, gdzie spoczywają prochy. Jednak już na etapie konkursu jury przekonywało autorów, że to nie do końca będzie funkcjonowało, i proponowało zaprojektowanie otwartej formy, co ostatecznie zostało zrealizowane.

Jeżeli natomiast chodzi o lokalizację ściany pamięci, to niestety pierwotne założenie zostało ostatecznie zmienione, wbrew naszym intencjom. Jak powiedziałem, toczyły się różne dyskusje, były różne punkty widzenia i nagle się okazało, że strona izraelska uznała, że nie jest dobrym rozwiązaniem, aby mur – a mówimy tutaj o ścianie o długości prawie 1 km i wysokości od 2,2 do 6,5 m – rzeczywiście biegł po osi dawnej drogi do komór gazowych. Nalegała, aby go przesunąć. Uważałem, że proponowana zmiana nie jest dobrym pomysłem. Architekci pojechali jednak do Izraela i tam zostali do niej przekonani. W efekcie zgodzili się na przesunięcie muru. To oczywiście spowodowało dużo problemów inwestycyjnych, trzeba było przygotować projekt zamienny, zdobyć dodatkowe środki finansowe, ale nie o tym chcę mówić. Ważniejsze były skutki dla całości upamiętnienia. W jakimś sensie historia się powtórzyła. Kiedyś niepotrzebnie odsunięto od wieży figurę matki z dzieckiem, przez co pomnik ten nie miał już tak silnej wymowy jak wcześniej. Z kolei teraz ściana pamięci została przesunięta kilka metrów od „szlauchu”, a on sam jest przysypywany kamieniami, które mają go chronić. Według mnie siła ekspresji takiej formy jest dużo słabsza, chociaż wiem, że większość zwiedzających tego niuansu nie zauważa. Jednak szkoda, że nie udało się zrealizować pierwotnego zamierzenia.

Pomimo tych zmian w ostatecznym kształcie upamiętnienia pokazanie, że doświadczenie ofiar jest nam całkowicie obce i nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć, oznacza przełom w dotychczasowych formach reprezentacji Zagłady. Wyraźnie zaznaczona jest nieprzekraczalna granica

między odwiedzającymi a ofiarami. Sami odwiedzający reprezentują coraz młodsze pokolenia, którym trzeba zaproponować zupełnie inną narrację. I teraz chciałabym porozmawiać o otwartej w 2020 r. wystawie. Jakże za nią stały idee? Jesteśmy obecnie w takim momencie, w którym zastanawiamy się, czym będą nowo powstające muzea Holokaustu, czy będą się koncentrowały tylko i wyłącznie na Zagładzie i na konkretnym miejscu, czy będą przedstawiać również szerszy kontekst, co ma związek przede wszystkim z pokoleniową zmianą publiczności. To, co było oczywiste od razu po II wojnie światowej, gdy nawet obiekty w muzeach nie miały podpisów, bo wszyscy zwiedzający wojnę przeżyli, to była żywa pamięć, pamięć autobiograficzna każdego, kto do muzeum przychodził. Teraz mamy całkowicie inną sytuację, czy uważa Pan więc, że wystawa powinna zaproponować szerszy kontekst, jak zostało to zrobione tutaj, na wystawie w Sobiborze?

Ryc. 2
Nowe założenie
architektoniczno-
-krajobrazowe z 2023 r. –
fragment ściany i ścieżki
symbolizującej drogę
do komór gazowych,
© Państwowe Muzeum
na Majdanku



To może najpierw powiedzmy o budynku, w którym znajduje się wystawa. Jest on dziełem architektów, o których już wspominaliśmy, laureatów pierwszej nagrody: Piotra Michalewicz z zespołem. Budynek został zlokalizowany w takim miejscu, żeby łączył istotne ślady i pozostałości obozu. Są w nim przeszklenia, przez które widzimy rampę, teren obozu I, gdzie wybuchło powstanie, widoczny jest początek „szlauchu”, gdzie po renowacji stanęła na cokole rzeźba Weltera. Architekci poszli tutaj tropem Dylewskiego i to było dobre rozwiązanie, które ma duże znaczenie symboliczne. Budynek wkomponowuje się w krajobraz, nie dominuje nad nim. My podobnie myśleliśmy o wystawie, że ma odgrywać rolę służebną, pokazywać realia Zagłady w szerszym kontekście i przekazywać wiedzę podstawową. Nie może być przeładowana treścią ani tekstami, ani zdjęciami, bo percepcja większości osób jest ograniczona. Wystawa jest nieduża, ma tylko 323 m kw. Świadomie zaprojektowaliśmy ją tak, aby zwiedzający przeszli trasę ekspozycji w całości, wszystkie segmenty po kolei. Chcieliśmy w ten sposób przekazać wiedzę syntetyczną i uporządkowaną, która pomoże

lepiej zrozumieć to, z czym zwiedzający spotka się później w terenie. Przede wszystkim chcieliśmy jednak stworzyć wystawę dokumentalną, zbudowaną z materiału źródłowego. Prezentujemy blisko 100 zdjęć i dokumentów, większość to są zdjęcia, które albo bezpośrednio są związane z obozem, albo z jego kontekstem, czyli np. pokazują transporty z Niemiec czy Wiednia. Ale od początku w centrum ekspozycji miały znaleźć się muzealia, rzeczy osobiste ofiar, które zostały pozyskane w czasie badań archeologicznych. Mówiliśmy o tych odkryciach, ale nie powiedzieliśmy, że przez kilka sezonów wydobyto tysiące rzeczy, które zostały tutaj pozostawione przez sprawców, a należały do zamordowanych. To są rzeczy codziennego użytku, okulary, lekarstwa – 700 takich przedmiotów znajduje się w specjalnej gablocie, która ma 25 m długości i biegnie na ukos przez całą salę ekspozycyjną. Jest sercem wystawy, ona ją organizuje, bez teatralizacji i próby budowania dodatkowych emocji. Tę gablotę w perspektywie całościowej można zobaczyć tylko z dwóch miejsc.

W ostatnich dwóch dekadach bardzo popularne w Polsce były wystawy narracyjne, angażujące odbiorcę. Ich twórcy mówią często, że uczyli się od otwartego w 1993 r. Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, które jest uważane za jedno z pierwszych tego typu – ale według mnie nie jest to do końca słuszne twierdzenie. Ja akurat miałem zaszczyt poznać Jeshajahu Weinberga, twórcę scenariusza waszyngtońskiej ekspozycji, rozmawiałem z nim, czytałem jego teksty. I on wyraźnie pisze, że zwiedzający jest osobą trzecią. Przychodzi ze swoją wiedzą i doświadczeniem i nie może poczuć się ofiarą. Granice między przeszłością i teraźniejszością, ofiarami i odwiedzającymi muszą być wyraźne. Transfer wiedzy w ramach wystawy nie odbywa się w ramach przeszłości, bo to jest niemożliwe, tylko jest jej współczesną reprezentacją. Przykładowo – bo inaczej może to być niezrozumiałe – w Muzeum Holokaustu ustawiony został oryginalny wagon transportowy i początkowo, jeżeli dobrze pamiętam, trasa wiodła tak, że wszyscy musieli przejść przez niego – czyli poczuć się trochę jak ofiary. Autorzy jednak szybko zorientowali się, że to był błąd, i obecnie jest także możliwość przejścia obok wagonu, jeśli ktoś nie czuje się na siłach albo uważa, że to nie jest stosowne. W Muzeum Powstania Warszawskiego zbudowano natomiast replikę kanału, czyli obiektu, o którym wiemy, że odegrał tragiczną rolę w powstaniu, był miejscem komunikacji i zbrodni, miejscem-symbolem, gdzie ludzie walczyli o życie i gdzie ginęli od granatów. I gdy muzeum udostępnia teraz imitację kanału na zasadzie parku tematycznego, niejako zapraszając odwiedzających do zabawy – to nie jest już muzeum narracyjne, to jest disneylandyzacja przeszłości.

Tak, tylko że przejście przez ten wagon też niewiele dawało. Wagon jest czysty i pusty, zupełnie nie oddaje sytuacji deportacji – ta symulacja faktycznie była krytykowana od początku. To jest bardzo dobry przykład teatralizacji Zagłady, która nie spełnia swojej funkcji, nie przybliża doświadczenia ofiar. Istotną kwestią jest również prezentacja sprawców w ramach ekspozycji o Zagładzie. Istnieje bardzo silne przekonanie,

że muzea pamięci i miejsca po obozach powinny przede wszystkim koncentrować się na ofiarach. Piotr Cywiński w jednym z wywiadów telewizyjnych powiedział o muzeum Auschwitz-Birkenau, że to nie jest muzeum o II wojnie światowej ani o sprawcach, ale o ofiarach. A ja pytam, czy koncentracja na ofiarach, która jest naturalna i oczywista, nie spycha jednak na drugi plan sprawców i nie powoduje, że my nie będziemy w stanie zrozumieć tego, co się tutaj wydarzyło? Przecież to wszystko zorganizowali i wykonali ludzie i to nie były pojedyncze osoby. Samo wymienienie nazwiska komendanta sprawy nie wyjaśnia, to była przecież cała machina państwowa, funkcjonariusze różnych szczebli. Czy będziemy w stanie zrozumieć Zagładę, jeśli nie poznamy sprawców?

Jak wcześniej wspomniałem, naszym celem było ukazanie realiów obozu, czyli mechanizmów zagłady, które nie do końca są znane, a to one tworzyły istotę tego miejsca. Z drugiej strony najważniejsze jest upamiętnienie ofiar, co realizujemy na różne sposoby. Zamordowanych reprezentują ich twarze, relacje, obiekty. Nie jest to oczywiście łatwe, ponieważ większość ludzi zabitych w Sobiborze to osoby anonimowe, w przypadku polskich Żydów wiemy tylko, z jakiej miejscowości pochodzili.

Częścią narracji wystawy jest natomiast historia ludzi, którzy tutaj realizowali Zagładę, byli członkami tego – jak powiedział jeden z nich – prymitywnego pasa transmisyjnego śmierci. W rzeczywistości ośrodki zagłady nie funkcjonowały perfekcyjnie, dużo improwizowano, były awarie, różnego rodzaju problemy, ale mimo trudności organizacyjnych wydajność tych obozów była przerażająca. W Bełżcu w ciągu 10 miesięcy zamordowano co najmniej 430 tys. ludzi. Kwestia prezentacji sprawców jest oczywista i bardzo ważna. Nam tutaj trochę pomógł los, bo już tworząc wystawę, wiedzieliśmy, że zostały odnalezione zdjęcia należące do zastępcy komendanta Johanna Niemanna, który wcześniej służył w Bełżcu, został następnie przeniesiony do Sobiboru, i tutaj zginął podczas powstania 14 października 1943 r. Po komendancie zachował się album dokumentujący m.in. jego służbę w obozie. Część zdjęć chyba robił sam, ale na wielu pozował w różnych mundurach, więc musiał te zdjęcia robić ktoś inny. Ten album został znaleziony w rodzinie Niemanna i obecnie jest w posiadaniu Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, kilka tych fotografii prezentujemy na ekspozycji w Sobiborze. Co te zdjęcia nam pokazują? Ten aspekt, o którym mówiłem wcześniej: zwyczajne miasteczko. Jest sektor, który się nazywa *Vorlager* – „przedobóz”. To garnizon z budynkami, w których mieszkają esesmani, mają nowe kasyno z tarasem i na nim spędzają wolny czas, rozmawiają, śmieją się, ktoś gra na akordeonie, ktoś na skrzypcach, rozgrywa na jest partia szachów, wspólnie piją i jedzą, wygrzewają się na słońcu. Tak właśnie zostali utrwaleni na tych zdjęciach. Obóz był samowystarczalny. Więźniowie pracowali w ogrodach warzywnych, hodowali świnie, gęsi – dla potrzeb kuchni SS. Jak już powiedzieliśmy, deportowani przyjeżdżali z takich państw jak Francja czy Holandia, przywozili różne rzeczy, bo byli przekonani, że jadą na wschód do pracy. W ich walizkach było złoto, ubrania, sprzęty, jedzenie, niemal wszystko. To stawało się własnością

esesmanów, więc oni, tych 30 funkcjonariuszy daleko od frontu, żyli tutaj jeśli nie w luksusie, to po prostu w innym świecie – mimo że 200 m dalej były komory gazowe. W obozie w ciągu kilku godzin mordowano tysiące ludzi – i ten kontrast poraża. To jest inne oblicze Holokaustu i należy je pokazywać. Esesmani po prostu siedzą sobie przy stołach, piją wino czy piwo, przyjmują gości, co widać na tych zdjęciach – mimo że takie obozy były objęte klauzulą tajności. Pokazanie tego aspektu zagłady jest bardzo ważne, ale nie chodzi o to, aby powiedzieć, że wszyscy oni byli bestiami. Żołnierze mieli swoje rodziny, dostawali dodatkowy urlop za to, że tutaj pracowali, podróżowali, co też pokazują zdjęcia z kolekcji Niemann. Została na nich udokumentowana zorganizowana wycieczka, która zaczyna się w Lublinie, na Flugplatzu. W obozie na Flugplatzu przy ulicy Wrońskiej, w magazynach akcji Reinhardt, było sortowane mienie zrabowane zamordowanym. Pracowali tam m.in. więźniowie z Majdanka. Na zdjęciach widać, jak esesmani ładują walizki z rzeczami, które wywiozą do swoich rodzin. Zresztą w taki sam sposób rozpoczynali swoją podróż ze stacji kolejowej w Sobiborze, obładowani różnymi przedmiotami. Wyjeżdżali do domów. Wracając do utrwalonej na zdjęciach podróży: zatrzymywali się w Poczdamie, w Berlinie, w innych miejscach. Normalna wycieczka, ale my wiemy więcej na ich temat, wiemy, że mieli krew na rękach. Staraliśmy się pokazać to, o czym powiedziałem, ale wnioski każdy musi wyciągnąć sam. Preferuję patrzenie na sprawców przez pryzmat ich biografii, wiedzy, którą dzisiaj mamy, żeby nie tworzyć kalek ani schematów, bo to nam niewiele da.

Taka wieloaspektowość jest tym ważniejsza, że czas mija i teraz trzeba informować o rzeczach, które dla wcześniejszych pokoleń były oczywistością. Zmienia się nie tylko wiedza odwiedzających, lecz także sposób prezentacji muzealnej. W upamiętnieniach z lat 60. bardzo często dużą rolę odgrywały ludzkie szczątki, pozostałości po czasach Zagłady. Do tej pory w muzeum Auschwitz-Birkenau są prezentowane włosy, a w muzeum na Majdanku znajduje się mauzoleum z ludzkimi prochami. Te obiekty mają niezwykłą siłę symboliczną, przyciągają i porażają. Jak Pan się zapatruje na tego typu artefakty? Bo z tego co wiem, nie ma ich w muzeum w Sobiborze.

Jeżeli chodzi o Sobibór, to trzeba przypomnieć, że w symbolicznym kopcu z lat. 60. XX w. było okienko, przez które można było zobaczyć fragmenty ludzkiego szkieletu. Ono zostało w latach 90. zamurowane, nie wiem dokładnie, w którym roku. Jestem zwolennikiem bardzo świadomego podejścia do historii, ale również do godności ofiar. Zdjęcia, które prezentujemy na wystawie, dobieraliśmy w taki sposób, by nie prowadziły do traumatyzacji odwiedzających i powtórnej wiktymizacji ofiar. Nie pokazujemy np. nagich kobiet, mimo że są najczęściej anonimowe, a choć nie znamy ich nazwisk, to one jednak istniały, miały swoje pełnowymiarowe życie, które zabrała Zagłada. Moim zdaniem należy również unikać eksponowania zdjęć, na których widać ofiary w sytuacjach traumatycznych. Na naszej wystawie wyjątkiem jest fotografia

Ryc. 3

Fragment wystawy stałej
prezentowanej w Muzeum
i Miejscu Pamięci w Sobiborze,
© Państwowe Muzeum
na Majdanku

z Wiednia, przedstawiająca Żydów zmuszanych do czyszczenia chodników. Nie widać upokorzonych twarzy, ale widać gapiów, którzy się cieszą z tego, co widzą. To zdjęcie zostało wybrane, żeby połączyć Wiedeń z Sobiborem, bo w czerwcu 1942 r. jeden z takich transportów trafił bezpośrednio do obozu. Oczywiście ludzkich szczątków nie ma na wystawie. Podkreślam raz jeszcze, że opowiadam się za podejściem, które dąży do zachowania godności ofiar.



Co według Pana jest najważniejsze zarówno na terenie upamiętnienia, jak i w muzeum? Wiemy, że cała autentyczna przestrzeń po obozie to jest dokument, świadectwo historyczne. Ale to nie jest przestrzeń homogeniczna, są groby masowe, czyli tak naprawdę rodzaj cmentarza, *terra sacra* – ziemia święta – i są też inne elementy, jak budynek muzealny i otaczająca obóz przyroda. Co dla Pana jest tutaj tym najważniejszym elementem, który poprzez upamiętnienie został wyeksponowany?

Najważniejsza jest niewątpliwie polana mogił (to jest nazwa, którą przejeśliśmy). Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że na terenach obozów zagłady nie było żadnych miejsc, które nazywano mogiłami. W obozach po prostu kopano głębokie, długie doły, do których wrzucano ciała, przykrywano je warstwą ziemi, a później były one ekshumowane i palone na stosach w tzw. krematoriach polowych. Używamy określenia „mogiła” jako wyraz szacunku dla ofiar i miejsc, gdzie leżą ich szczątki. Mogiły zostały zidentyfikowane przez archeologów i zabezpieczone warstwą kamieni. Polana mogił przykryta kamieniami to jest najważniejsze miejsce Sobiboru. Otoczone białą ścianą pamięci

miejsce spoczynku ofiar robi ogromne wrażenie, pobudza świadomość odwiedzających (Ryc. 4). Dzięki zabezpieczeniu i oznaczeniu tego miejsca zrealizowaliśmy nasz główny cel. Z kolei nawiązując do tego, że nazwała Pani przestrzeń po obozie dokumentem – ja traktuję naszą wystawę i w jakimś sensie całe muzeum jako metadokument. Staraliśmy się precyzyjnie myśleć o tym miejscu i tak je opisywać, tak dobierać zdjęcia i eksponaty, żeby przede wszystkim pokazywać historię obozu jako dokument, jako artefakt. Mogliśmy oczywiście zbudować bardziej atrakcyjną z punktu widzenia zwiedzających narrację, posługując się inscenizacjami, ale dla nas aspekt dokumentalny był najważniejszy. W zasadzie każda wystawa jest inscenizacją, ale należy korzystać z niej świadomie, w przemyślany sposób, aby nie przekraczać granic, jak rekonstruowanie kanału, o czym była mowa. Chodzi o to, żeby ekspozycję historyczną budować przede wszystkim na dokumentach, źródłach, a nie na imitacji, na symulakrach, jak by to ujął Krzysztof Pomian.

Zbliżając się do końca naszej rozmowy, chciałam spytać o zagadnienie przekształcania terenów poobozowych w muzea-miejsca pamięci. Z jakim odbiorem w przypadku Sobiboru spotkał się ten proces? Przede wszystkim wśród ludzi tutaj żyjących, ale również ze strony byłych więźniów, jeśli się wypowiadali na ten temat. Jakie są według Pana najważniejsze trudności i wyzwania związane z przekształceniem byłych obozów w muzea?

To może zacznę od przedostatniego pytania, bo to wiąże się z naszą uroczystością w październiku 2023 r. Wtedy upamiętniliśmy 80. rocznicę wybuchu powstania i jednocześnie udostępniliśmy zwiedzającym miejsce pamięci w całości, wraz z powstałą wcześniej wystawą i całym założeniem pomnikowym. To była bardzo wzruszająca ceremonia, ale nie dożył jej żaden z więźniów. Po wojnie była ich garstka, jak już powiedziałem ok. 60 osób, które rozproszyły się po świecie. Miałem możliwość poznać Tomasza Blatta i z nim rozmawiałem o wystawie, na etapie prac koncepcyjnych. Podkreślał, mimo że sam był uczestnikiem powstania, aby nie tworzyć wystawy, która opowie tylko o tym zrywie i przytłoczy to, co jest najważniejsze – że zginęło tutaj 250 tys. osób. Wtedy, w latach 90., nadal tak szacowano liczbę ofiar. Powstanie jest bardzo ważne, dzięki niemu dużo wiemy o samym obozie, ale nie ono było najważniejsze. Najważniejsze było to, że tutaj doszło do Zagłady – to powiedział Tomasz Blatt. Z kolei w czasie uroczystości w imieniu rodzin ofiar przemawiał Marvin Raab, mieszkający w Stanach Zjednoczonych syn Estery Raab z domu Turner, Żydówki z Chełma, która brała udział w powstaniu i była także konsultantką filmu *Ucieczka z Sobiboru*. Marvin Raab zakończył swoje przemówienie słowami: „Moja mama uśmiecha się dzisiaj. Czuję, że jest z nami. Wiem, że jest zadowolona z muzeum i prezentowanych na wystawie przedmiotów, które dowodzą, że obóz zagłady w Sobiborze naprawdę istniał”. I mnie to wystarczyło.

Miałem także okazję poznać Julesa Schelvisa, byłego więźnia Sobiboru, holenderskiego Żyda. To on przyczynił się do rozpropagowania wiedzy o Sobiborze dzięki napisaniu pierwszej monografii o obozie w języku holenderskim, którą później przetłumaczono na wiele języków. Wyszła również nakładem Muzeum na Majdanku po polsku. Jules Schelvis przybył do obozu w ramach transportów Żydów holenderskich ze swoją żoną, polską Żydówką Rachelą Borzykowską. Jego żona, teściowie i kuzyni zostali zamordowani, jego samego SS wybrała do pracy. Na rampie w Sobiborze przebywał mniej więcej godzinę i stąd wywieziono go do jednego z obozów pracy. Był ofiarą Sobiboru, ale nie brał udziału w powstaniu. W czasie ostatniego spotkania przekazał mi swój medal, wręczany osobom mającym duże zasługi dla popularyzowania wiedzy o Sobiborze i upamiętniania tego miejsca. Powiedział, że byłoby dobrze, żeby ta pamiątka jakoś zaistniała w Muzeum. To było wiele lat temu, ale tworząc wystawę, na szczęście sobie o tym przypomniałem i ten medal jest teraz częścią ekspozycji, wraz ze zdjęciem Schelvisa i jego żony. Ten osobisty akcent jest bardzo ważny w upamiętnianiu ofiar, bo pokazanie, jakimi byli ludźmi, zanim nadeszła Zagłada, jest bardzo istotne. Ważne jest również uświadomienie zwiedzającym braku zdjęć ofiar, co staramy się robić poprzez eksponowanie rzeczy codziennego użytku, które należały do zamordowanych: okularów, lornetek, opakowań po kremach, szczoteczki do zębów, grzebieni. Ma to również zobrazować istotę akcji Reinhardt. Był to ostatni etap Zagłady, a oni zabierali te rzeczy z domu, myśląc, że wciąż będą im potrzebne. Tutaj im je odebrano, w ramach

Ryc. 4
Widok z lotu ptaka na fundamenty i zarysy komór gazowych (środkowa część kadru) oraz polanę z prochami pomordowanych (prawa strona), © Państwowe Muzeum na Majdanku



grabieży, o której mówiliśmy na początku naszego wywiadu. Teraz te zwykłe przedmioty mówią o życiu tych ludzi, bo należały do ich życia, są elementami ich biografii, w większości jednak anonimowych. Jeśli zaś znamy nazwiska, to dzięki temu możemy przywołać twarze tych osób, pokazać, gdzie mieszkali – co głównie dotyczy Żydów holenderskich, ponieważ te transporty były udokumentowane przez listy transportowe z adresami i nazwiskami i te dokumenty się zachowały. W przypadku Żydów polskich sprawa ta już tak nie wyglądała, dlatego większość ofiar pochodzących z Polski jest anonimowa.

Opinie, z którymi się spotykamy zarówno ze strony ekspertów, jak i zwykłych zwiedzających, są bardzo pozytywne. Wszyscy podkreślają, że wystawa jest syntetyczna i powściągliwa. Tutaj akurat mogę wymienić nazwisko osoby, która jest dla nas wszystkich autorytetem, ekspertem – Mariana Turskiego, byłego więźnia Auschwitz. On kilkakrotnie mówił, że to jest wystawa modelowa, choć także podchodził krytycznie do pewnych jej elementów. To dużo dla mnie znaczy. Zwiedzający za-uważają też estetyczny wymiar ekspozycji. Estetyka muzeów martyrologicznych to jest zresztą ciekawy temat. Bo nie jest tak, że wszystko musi być tylko ciemne i ponure, można odchodzić od tej stylistyki, myśląc choćby w sposób minimalistyczny o architekturze. Możemy powiedzieć, że muzeum okazało się sukcesem, otrzymało kilka prestiżowych nagród, frekwencja jest dość wysoka. Dla nas istotna jest ocena odwiedzających, którzy mówią, że to, co tutaj zobaczyli, jest dla nich ważne. Wydaje mi się, że to jest chyba najważniejsze, jeśli chodzi o to, co zrobiliśmy w Sobiborze.

Mam odczucie, że wystawa nie pokazuje tylko momentu śmierci ofiar, ale stara się opowiedzieć ich życie sprzed Zagłady. Masowość śmierci nie oddziałuje na nas, na naszą wyobraźnię, nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić miliona zamordowanych osób. Taki sposób prezentacji Zagłady James E. Young krytykował już latach 60. XX w. Ale jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, że wychodzimy z domu, zamykamy na klucz mieszkanie, mając nadzieję, że wrócimy. I chowamy klucz do kieszeni, i te klucze później są odnajdywane tutaj. Jakie było wasze podejście do tej kwestii?

Tak, to jest bardzo istotne, by nie skupiać się wyłącznie na śmierci. Dobierając zdjęcia i szykując do nich podpisy, staraliśmy się budować krótkie teksty, które jednak zawierają mikrohistorie. Jest mnóstwo fotografii, które można wykorzystać w pracy edukacyjnej do pogłębiania wiedzy, do patrzenia na indywidualne losy konkretnych osób, jeżeli oczywiście możemy je zidentyfikować. Przykładem jest wykorzystana na wystawie fotografia pochodząca z sekwencji zdjęć z niemieckiej miejscowości Hanau. Transporty z Niemiec różniły się od deportacji z pozostałych krajów. W Holandii w Westerborku zapelniano pociąg, który przez kilka dni jechał do Sobiboru, podobnie było w przypadku pociągów deportacyjnych z Francji, które wyjeżdżały z Drancy. Żydzi

niemieccy jechali w transportach zbiorowych (*Sammeltransporte*), które zatrzymywały się w różnych miejscach. W jednej miejscowości wsiadało do pociągu np. 70 osób, w innej 100. Tak tworzył się transport liczący 1000 osób, który przyjeżdżał do Polski, w tym przypadku do Sobiboru. Na jednym ze zdjęć wykonanych na dworcu kolejowym w Hanau widać młodego lekarza, akurat jego mogliśmy zidentyfikować bez problemu. Nazywał się Bernhard Blumenthal. Kiedy dojedzie do Sobiboru – zginie. Jest też biegnąca do pociągu Hannelore Stein, która też zostanie zamordowana w obozie. Widzimy idącego mężczyznę, który trzyma dwie walizki, Juliusa Lilienfelda. On ocalał, bo jego żoną była Niemka. Nie trafił do transportu, został w mieście i po wojnie upamiętni tych, którzy zostali zamordowani. Jedno zdjęcie i kilka mikrohistorii – i to staraliśmy się pokazać na wystawie.

Chciałam poruszyć jeszcze sprawę estetyki wystaw. Trudno mówić o pięknie ekspozycji Zagłady, ale czasem takie emocje nam towarzyszą. Pierwszy raz zetknęłam się z tym uczuciem, gdy odwiedziłam Treblinkę. Monument w środku lasu, na polanie, cudowny letni krajobraz dookoła – podobnie wygląda teraz upamiętnienie w Sobiborze. Biała ściana na tle drzew, niezwykle przejmujące, ale i piękne. Podziwiamy dzieło, podziwiamy koncept artystyczny, a przecież jednocześnie ma on związek z zagładą i śmiercią. Tu widzę główny problem, który staje się szczególnie widoczny wraz z potrzebą uświadomienia podziwiałym upamiętnienie ludziom, że jednak z drugiej strony tej białej ściany działy się rzeczy straszne.

Obecność lasu również nie jest bez znaczenia. Analizą krajobrazu zajmuje się subdyscyplina nazywana środowiskową historią Holokautu, która bada relacje pomiędzy otaczającą naturą a samym procesem Zagłady. Najczęściej natura była po prostu milczącym świadkiem, ale w Sobiborze jej rola była też inna. Uciekający po powstaniu więźniowie uciekli do lasu, który dał im schronienie. Myślę więc, że upamiętnienie w Sobiborze należy badać w kluczu tej dyscypliny, nie pomijając kwestii estetyki.

W przypadku Sobiboru krajobraz zawiera w sobie kilka warstw: pamięci, niepamięci, zapomnienia, odkrywania – rzeczywiście trudno jest to połączyć w jedną spójną całość. Jednak było to wyzwanie stojące przed architektami i inicjatorami muzeum. Jeżeli chodzi o ścianę pamięci, która świetnie wygląda i może niektórym się kojarzyć z estetyzacją, to choć teraz jest biała, to zobaczymy, co zrobi z nią natura za parę lat. To jest normalny proces, który też można odczytywać jako symbol. Wydaje mi się natomiast, że powinniśmy pamiętać o tym, że również nagrobki nieraz są tworzone w sposób, który kładzie duży nacisk na formę, na estetyzację, i to dla niektórych osób jest bardzo ważne. Ale głównym problemem byłych obozów zagłady jest pustka. Zostały rozebrane, zaorane, zniszczone, działania przyrody czy człowieka spowodowały, że ich nie ma. Brak widocznych materialnych śladów sprawia, że ich

historia jest wciąż mało znana, bo jeżeli nie ma wizualnych nośników pamięci, to opowiadanie staje się dużo trudniejsze i wtedy trzeba posługiwać się innymi środkami. Tym bardziej, gdy nie ma zdjęć pokazujących m.in. przybycie transportów, brakuje więźniów, którzy przeżyli i mogli po wojnie dać świadectwo.

Uważam, że te miejsca są nadal słabo rozpoznawalne, co oczywiście jest fragmentem znowu innego zjawiska, dominacji pamięci i ogólnych wyobrażeń związanych z wojną, Holokaustem, czytanych przez pryzmat Auschwitz. Paradoks polega na tym, że Zagłada Żydów, która nazywana jest Holokaustem albo Szoah i pochłonęła ok. 6 mln ofiar, w latach 1942–1943 była przeprowadzona przede wszystkim w obozach zagłady znajdujących się w Generalnym Gubernatorstwie – w obozach akcji Reinhardt. A to, co widać na zdjęciach z rampy w Birkenau, które ludzie najczęściej znają, to jest ostatnia faza Zagłady, która pokazuje deportacje Żydów węgierskich w 1944 r., kiedy już nie było obozów zagłady związanych z akcją Reinhardt. Rampę kolejową w Birkenau, która jest dzisiaj symbolem Holokaustu, uruchomiono w maju 1944 r. To są niuanse, ale istotne, bo pokazują, jak tkanka historyczna jest ważna dla kształtu pamięci. Jednak nie można mówić o historii, nie odwołując się do źródeł i dowodów, bez świadomości zmian i przeobrażeń. Wydaje mi się, że w przypadku tych miejsc jest to szczególnie ważne.

We wszystkich trzech kompozycjach pomnikowych znajdujących się w Bełżcu, Sobiborze i na Majdanku można się doszukiwać wspólnych elementów, są one natomiast zupełnie różne i naprawdę wszystkie mają niezaprzeczalne walory architektoniczne. W szerszym kontekście można powiedzieć, że krajobraz pomnikowy w Polsce, z naciskiem na jedno z najwybitniejszych dzieł, czyli Treblinkę, jest wyjątkowy i warty za-uważenia i docenienia. Szczególnie, gdy spojrzymy na pomniki w innych krajach. Mamy różne przykłady. Na jednym biegunie umieściłbym wiedeński monument w formie biblioteki – 65 tys. grzbietów książek, które symbolizują także kilka tysięcy osób, które zginęły w Sobiborze. Na tym pomniku są nazwy miejscowości, do których trafiali Żydzi wiedeńscy. Oglądając pomnik, możemy odkrywać, co nam chce przekazać, ale gdy patrzymy tylko na wyryte na nim nazwy, to musimy wiedzieć albo dowiedzieć się, co się za nimi kryje. Podobnie jak w przypadku innego „pomnika”, który powstał w latach 60. w centrum Berlina obok Domu Handlowego KaDeWe przy Wittenbergplatz. Jest to rodzaj kontrmonumentu, tablica z nazwami wybranych obozów, która swoją stylistyką nawiązuje do tablic ulicznych. Wymienionych jest na niej kilkanaście obozów – jest Auschwitz, Majdanek, Treblinka, ale nie ma Bełżca, nie ma Sobiboru. A dlaczego o tym mówię? Nie wiem, czy są jakieś badania pokazujące, jaka jest recepcja tej tablicy, czy ktoś ją jeszcze zauważa. Dlaczego nikt nie pomyślał, żeby dotożyć tablicę z nazwami brakujących obozów? Chcę więc na koniec podkreślić, że kiedy w Polsce kilka dekad temu powstawały na terenach poobozowych pomniki, z których wiele jest dziełami sztuki – to w innych krajach często takich pomników w ogóle nie budowano albo stawiano tablice przypominające sztyld

uliczny. Tym bardziej te założenia pomnikowe, w tym również Sobibór, mogą być dla nas powodem do dumy.

Dziękuję bardzo Panu Dyrektorowi i zapraszam państwa do zwiedzania niezwykłego miejsca, jakim jest właśnie Muzeum i Miejsce Pamięci w Sobiborze.

Ja też dziękuję bardzo za rozmowę. ■